

Jan Hartman

Jean-François Lyotard (1924-1998)
W obronie jego *Kondycji ponowoczesnej*

W kwietniu tego roku zmarł Jean-François Lyotard, jeden z tych kilkunastu jakże wybitnych filozofów francuskich naszego wieku, których tak w Polsce podziwiamy. Niewiele wcześniej ukazał się nareszcie pełny polski przekład nadzwyczaj popularnej i wpływowej jego pracy *La condition postmoderne (Kondycja ponowoczesna, przeł. Małgorzata Kowalska i Jacek Migasiński, Warszawa: Aletheia 1997)*. Przekład bardzo udatny, napisany, jak mi się wydaje, bardziej wartkim stylem niż sam oryginał.

O eseju Lyotarda należy pisać szczególnie dzisiaj – po dwudziestu latach od jego powstania – nie tylko z okazji odejścia autora, ale i dlatego, że stanowi on rzecz z gatunku futurologii kultury naukowo-technicznej i przyszedł już czas na zestawienie zawartych tam prognoz z rzeczywistością. Jest jednak jeszcze jeden powód, dla którego osobiście chciałbym wypowiedzieć się o tej książce, a mianowicie niepoprawne, jak mi się wydaje, odczytywanie jej znaczenia, a właściwie jej statusu w kulturze współczesnej. Otóż często określa się to dziełko mianem manifestu postmodernistycznego (na przykład w znakomitym skądinąd wstępie Małgorzaty Kowalskiej do polskiego przekładu), gdy tymczasem w ogóle nie jest ona utrzymana w konwencji manifestu (lecz opisu bądź raportu, którym jest w istocie – pracę zamówiła bowiem Rada Uniwersytetów przy rządzie Quebecu), a postmodernizm (czy jak kto woli ponowoczesność) ani nie jest w niej kluczowym pojęciem, ani przedmiotem apologii. Praca Lyotarda jest erudycyjnym (choć skrótownym i przystępnym w swej formie) sprawozdaniem na temat stanu moralnego (ideowego) i organizacyjnego życia akademickiego w krajach zachodnich oraz

na temat literatury dotyczącej tej problematyki. Właśnie ta bibliograficzna strona książeczki Lyotarda, która co najwyżej w niewielu fragmentach wychodzi poza aspiracje referowania szeroko uznanego stanu rzeczy bądź referowania cudzych myśli, wydaje się najcenniejsza. Na 178 stronach polskiego przekładu mamy 231 erudycyjnych przypisów, zachęcających do lektury niezliczonych książek o nader pociągających tytułach. To one właśnie kryją się za tekstem Lyotarda, stanowiąc rzeczywiste źródło spostrzeżeń, które w większości stały się szerzej znane przypuszczalnie dopiero dzięki rozgłosowi, jaki uzyskał esej *Kondycja ponowoczesna*. Spostrzeżenia te w większości zdają się całkiem słuszne, bardziej opisowej niżli hipotetyczno-konstrukcyjnej natury, i nie są wcale szczególnie radykalne, wbrew temu co pisze np. M. Kowalska. Są sformułowane w technokratycznym żargonie, charakterystycznym dla amatorów nowoczesnej techniki i nowoczesnych teorii fizykalnych oraz socjotechnicznych (jak modna w swoim czasie cybernetyka), żargonie w nowszej wersji popularnym w różnych kręgach do dzisiaj i chyba – w tym swoim wydaniu sprzed lat – stosunkowo swojskim, żeby nie powiedzieć budzącym pobłażliwą sympatię dzięki różnym drobnym technokratycznym słówkom (np. bank danych, terminal systemu teleinformatycznego), które tak niespodziewanie zdążyły już przez dwadzieścia lat w znacznym stopniu wyjść z użycia, na rzecz całkiem innych słówek, kto wie, czy nie równie nietrwałych.

Lyotard jest dość często w Polsce atakowany, zapewne w wyniku mylnego wrażenia radykalizmu, które wzbudza używany przez niego język. Chciałbym tu bronić francuskiego filozofa, a mianowicie w ten sposób, że zreferuję niektóre spostrzeżenia zawarte w jego pracy posługując się językiem trochę bardziej zwyczajnym. Jestem zresztą przekonany, że w większości Lyotard ma słuszność, zresztą razem z tymi licznymi autorami, na których się powołuje. Wprawdzie często słuszność ta jest racją banału, ale też nie wszystko, co jest banalne dzisiaj, było takim przed dwiema dekadami.

W naszych czasach tradycyjny etos uniwersytetu i typowe dla czasów nowożytnych argumenty uzasadniające szczególną godność nauki w kulturze i w życiu społeczeństw straciły swą moc przekonującą. Co więcej, świat akademicki dobrze się bez nich obywa.

Wszelako cyniczny obraz nauki, zgodnie z którym jest ona całkowicie podporządkowana wymogom władzy politycznej, skuteczności technologicznej i ekonomicznej, byłby niepełny i jednostronny. W nauce, podobnie jak w całym życiu społecznym jest wiele czynników, które wymykają się prostym kryteriom w rodzaju „rację mają ci, którzy dysponują największymi środkami na badania” czy „kredyty na badania otrzymują ci, którzy rokują największą efektywność innowacyjną z punktu widzenia zastosowań technicznych wiedzy”. Lyotard, który zdaje się być wierny ideałom lewicy i socjalistycznemu pojęciu o sprawiedliwości i wolności, wyraża nadzieję, że jeśli zachowany zostanie nieskrępowany dostęp do informacji naukowej, to nauka będzie zdolna wykraczać poza swe niewątpliwie bardzo silne uwikłania polityczno-ekonomiczne i zachować swą szczególną zdolność do zauważania i interpretowania coraz bogatszej różnorodności doświadczenia, przyczyniając się do lepszego życia społeczeństw – lepszego nie w znaczeniu jakiegoś programu ideologicznego, lecz w znaczeniu pewności i bezpieczeństwa więzi społecznych stanowiących podstawę sprawiedliwego ładu (por. s. 21 n).

Dzisiejsza nauka coraz bardziej związana jest z technikami informatycznymi – z gromadzeniem, przetwarzaniem i udostępnianiem danych. Przytaczane przez Lyotarda opinie na temat przyszłego rozwoju komputeryzacji potwierdziły się. „Teleinformatyka”, o której mówi się w książce, a więc sieć, rzeczywiście nabiera fundamentalnego znaczenia dla życia naukowego. Wyrażane przez teoretyków w latach 70-tych obawy, że dostęp do informacji naukowych może być biurokratycznie bądź politycznie ograniczany przez jakieś instancje selekcji i kontroli do pewnego stopnia podzielane są i dzisiaj. Jednakowoż wydaje się, że Lyotard i jego poprzednicy nie przewidzieli powstania prawie całkowicie zdecentralizowanej i wolnej sieci informatycznej, jaką jest, jak dotąd, Internet. Dziś z pewnością cieszą się z takiego obrotu spraw, gdyż domagali się właśnie wolności i demokracji w użytkowaniu technik komputerowych. Szkoda tylko, że Lyotard nie nazywa rzeczy po imieniu, ale jego wstręt do „wielkich narracji” nie pozwala mu przyjąć do własnego słownika takich słów jak „wolność” czy „demokracja”. Należy to traktować, moim zdaniem, jako nieistotne idiosynkrazje, a nie złowróbnne znaki jakiegoś tam „postmodernizmu”, którego nikt na

oczy nie widział, choć tysiące eseistów i dziennikarzy w całym świecie przysięga, że na pewno pływa w jeziorze.

W epoce informatycznej wiedza staje się coraz bardziej anonimowa i przybiera coraz bardziej techniczno-profesjonalny aspekt. Staje się też w coraz większym stopniu towarem i w konsekwencji przedmiotem sporu pomiędzy władzą polityczną a przemysłem. Lyotard mówi o tych sprawach (ss. 30-34) z dużą ekscytacją, a zarazem trafnie.

W epoce nowoczesnej, epoce industrialnej, społeczeństwa utrzymywały ład polityczny dzięki pewnym powszechnie znanym dyskursom czy jak kto woli ideologiom albo narracjom, które uzasadniały istniejące formy władzy i stosunki społeczne. Te narracje uprawomocniające system społeczny w sferze polityczno-institutionalnej oraz w sferze moralnej były przekonujące i zgodnie pomiędzy sobą. Takimi ideologicznymi podstawami cieszyła się również nauka. W istocie jednak opowieść o absolutnym uniwersalnym systemie wiedzy, w którym spełnia się spekulatywny rozum, albo też opowieść o przewodniej roli nauki i jej instytucji w budowaniu praworządnego społeczeństwa wolnych i świątłych ludzi to zawsze tylko pewna częściowo wyizolowana czy nawet wyalienowana gra językowa, perswazja dołączona do nauki a nie stanowiąca jej rzeczywistej części. A każda taka perswazja, i każda w ogóle „gra językowa”, czyli forma posługiwania się językiem, jest w swej istocie wyrazem postawy rywalizacji, a nawet walki. Mówiąc cokolwiek, zawsze rozgrywamy jakąś strategię językową, wykonujemy jakieś posunięcia w grze, w której jesteśmy stroną – zainteresowaną zwycięstwem lub co najmniej samą grą. Lyotard nazywa ten punkt widzenia na język „agonistyką języka” i zapowiada zastosowanie swej teorii do oceny dzisiejszego stanu nauki w omawianym eseju, co jednak nie do końca zostanie zrealizowane. (Nie tylko w tym punkcie nasuwało mi się porównanie Lyotardowskiej *Kondycji nowoczesnej z Dialektyką oświecenia* Horkheimera i Adorno, gdzie znajdujemy np. zdanie „Aby ująć czczości istnienia, niezbędny jest opór, którego kręgosłupem jest język” (s. 269 przekładu M. Łukasiewicz z 1994 r.). Te dwie wybitne pozycje XX-wiecznej literatury lewicowej pod wieloma względami są ze sobą zbieżne i warto nawet cytować je równolegle.)

W dzisiejszych czasach, w których nowożytny programy ideowe, polityczne i naukowe doszły do swych ostatecznych społecznych rezultatów, często podważających ich istotne punkty, w czasach zwanych postindustrialnymi albo ponowoczesnością, więzi społeczne coraz bardziej zależą od obiegu informacji oraz interakcji językowych. Tylko pozornie ich ideałem jest konsensus. Niezwykle zróżnicowane i często bardzo aktywne podsystemy społeczne mnożą niezliczone formy zachowań językowych czy też gier językowych o elastycznych i zmieniających się regulach, dzięki czemu zwiększają swój zasięg oddziaływania, swą żywotność, swoje wpływy. Instytucje, w tym i instytucje nauki, nie mogą już być tak bardzo jak dawniej pewne swego autorytetu i dominacji w swych obszarach działania. Muszą liczyć się z nieustanną zmiennością, niestalością warunków swego funkcjonowania, muszą wciąż dostosowywać się do zmian i dbać o własną skuteczność. Patetyczny etos, inercja tradycji ani konserwatywny pozór ładu nie zapewniają już dzisiejszym instytucjom trwałości i bezpieczeństwa. Drętwy konsensus lub kompromis, równowaga sił i harmonia podziału funkcji ustępują przed żywymi i dynamicznymi procesami społecznymi, wiążącymi się zawsze z jakimiś strategiami językowymi, których celem jest tak czy inaczej pojęty rozwój, wzrost mocy.

Rozdziały „Pragmatyka wiedzy narracyjnej” i „Pragmatyka wiedzy naukowej” przypominają „Pojęcie oświecenia” z *Dialektyki oświecenia*. Lyotard zwraca uwagę, że ludzka wiedza wyraża się pierwotnie w opowieściach budujących orientację i więzi społeczne. Nie wymagają one uprawomocnienia, mówią niejako „same za siebie” i można je po prostu powtarzać. Inaczej jest w przypadku wiedzy naukowej, która rządzi się zasadą dostarczania uprawomocnienia – zarówno w porządku badania, jak i nauczania. Nie mogę powstrzymać się tu od uwagi, że na s. 79 i 80 Lyotard mówi dziwne rzeczy o Koperniku.

Specyficzne dla nauki gry językowe, związane z procedurami weryfikacji i falsyfikacji, a przede wszystkim zasada, iż celem nauki jest poznanie prawdy, bardzo odróżnia naukę od pozostałych form aktywności ludzkiej i w konsekwencji zagraża pewną izolacją nauki od szerszego kontekstu społeczno-komunikacyjnego, z którego wyrasta. Trzeba więc dbać o to, aby utrzymywać więź między nauką a innymi sferami życia. Najlepiej służy temu umiejętne projekto-

wanie systemu edukacyjnego, który powinien odpowiadać nie tyle szacownej ideologii uniwersytetu, co praktycznym zawodowym potrzebom studiujących. A w każdym razie nie wolno wdawać się w typowe dla postawy naukowej rezonerstwo i recenzenctwo, żeby nie powiedzieć imperializm, w stosunku do wiedzy narracyjnej. Raczej należy cieszyć się, że „rodzina kultur narracyjnych” spontanicznie gotowa jest traktować naukę z pewnym szacunkiem. Nauka nowożytna i jej uniwersytety rościły sobie prawo nawet do tego, aby ostatecznie uprawomocnić ustroj polityczny państwa narodowego, a dyskursy uprawomocnianiające różne formy kultury stały się specjalnością niektórych nauk humanistycznych. To dzisiaj nie jest już potrzebne ani wiarygodne. Ani spekulatywne uprawomocnienie każdej formy ducha w obrębie idei absolutnej, ani polityczne uprawomocnienie ustroju politycznego i oświecenia z pomocą idei emancypacji nie może już być skuteczne. Dotyczy to również samej nauki: jej moc dyskursywnej autolegitymizacji ostatecznie okazała się pozorna. Ciekawe, że Lyotard sugeruje, iż intelektualny autorytet filozofii może zostać uratowany – wymaga to jednak przemiany w usytowaniu filozofii w świecie akademickim (por. s. 118, przyp. 133). Najkrócej rzecz ujmując, nauka i filozofia musi się wyzbyć pychy i zarozumialstwa, a jedyną rzetelną jej legitymizacją może być jej wkład do lepszego i sprawiedliwszego życia. Trzymając się bliżej języka teorii Lyotarda można powiedzieć tak. Nauka w zasadzie poświęca się grze językowej „denotującej”, tzn. opartej na kryterium prawda/fałsz. Jednakowoż warunki społeczne decydują o tym, że nauka zależy od dwóch innych odmian gier językowych, a mianowicie od gier „preskryptywnych” (kryterium sprawiedliwe/niesprawiedliwe bądź słuszne/niesłuszne) oraz gier „technicznych” (kryterium skuteczne/nieskuteczne). Rzecz w tym, aby te wszystkie gry językowe w rzeczywistości społecznej świata naukowego mogły wzajemnie się wspierać i uzupełniać z korzyścią dla rozwoju nauki i jej oczekiwanych społecznych rezultatów. Nie trzeba się bać zależności nauki od polityki i technologii, ale też nie należy idealizować tych stosunków przy pomocy nierealistycznych teorii konsensusu albo elitaryzmu akademickiego. Wystrzegać się trzeba nie takich czy innych zależności społecznych i krzyżowania się związanych z nimi „gier językowych”, lecz *przemocy*. Pluralizm

i decentralizacja ponowoczesnego społeczeństwa daje większe szanse na pokój niż tradycyjne hierarchiczne systemy – tak chyba należy odczytywać esej Lyotarda, który unika nawiązań stylistycznych do patosu marksistowskiego, chroniąc się w bezpiecznym języku technokratycznym. Jest w tym zresztą całkiem „modernistyczny”.

Uwagi Lyotarda o rozwoju edukacji uniwersyteckiej, o jej profesjonalizacji i silnym związaniu z technikami komputerowymi, jak również o badaniach interdyscyplinarnych itp. są na tyle słuszne, że dziś już banalne. Należy jednak pamiętać, że to właśnie tacy ludzie jak Lyotard, nowocześni uczeni nie uchylający się od współpracy z administracją nauki w dziele reformy, przyczynili się do tych sukcesów organizacyjnych światowego życia uniwersyteckiego, które widoczne są już od trzydziestu lat.

Lyotard nie przeczy żadnym pryncypiom: ani temu, że nauka służy poznawaniu prawdy, ani temu, że się rozwija, ani temu, że musi być wolna i nie może dać się podporządkować interesom ekonomicznym jakiegokolwiek społeczeństwa czy władzy. Odrzucenie tradycyjnych, konserwatywnych ideałów politycznych i spekulatywnych związanych z nauką, zarówno tych, które wywodzą się z oświecenia, jak i tych, które powstały w czasach idealizmu niemieckiego i następnie w okresie reformy Humboldtowskiej, nie oznacza podcinania korzeni nauce i wystawiania jej na poniewierkę lub na służbę irracjonalnych i nieprzewidywalnych sił społecznych, politycznych i ekonomicznych. Nauka ma swe własne gry językowe, swe własne reguły, które sama określa i sama modyfikuje. Dlatego nikt nie może z zewnątrz zapanować nad nauką. Ale jej samodzielne, względnie suwerenne życie zależy od swobody i dynamiki rozgrywania się w niej naturalnych dla niej procesów przemian i przystosowań. Dlatego nie wolno wiązać nauki gorsetem wielkich meta-narracji czy też, mówiąc inaczej, ideologii mających wyrażać spekulatywny, metodologiczny i polityczny etos nauki. Dla nauki bardziej płodne od regularnego stosowania ustalonych metod i powtarzania standardowych procedur są wszelkie sytuacje paradoksalne, wymuszające modyfikację pojęć i procedur, a w konsekwencji modyfikację rozumienia tego, co jest naukowe, a co nie. Nauka jest żywa i zmienna – we wszystkich swych wymiarach, także pod względem swej samowiedzy. Nie tworzą jej „wielkie opowieści”, lecz pełne

inwencji „małe opowieści”: nowe pomysły teoretyczne w określonych dziedzinach, poszczególne specjalistyczne dyskusje, konkretne projekty zastosowań itd. Niezgoda, spór, anomalie czy „paralogie” są dla nauki ważniejsze niż stagnacyjny konsensus czy uzyskiwanie planowych rezultatów w ramach dobrze ugruntowanych i od dawna znanych teorii.

Książka, która pełna jest zapału amatora dla nowej techniki, kończy się jakże zwyczajnie postępowym dezyderatem: „obywatele powinni mieć swobodny dostęp do pamięci i do banków danych” (s. 177). I tyle manifestu. Po co tu prawić o jakimś niebezpiecznym guru postmodernizmu, nastającym na imponderabilia? Nie ten adres.

Książka Lyotarda jest esejem i nie rości sobie żadnych poważniejszych pretensji; korzysta za to z praw stylistycznych i retorycznych jakie daje esej. Nie można więc czynić autorowi zarzutu, że jest powierzchowny albo nieprecyzyjny. Co więcej, tekst utrzymany jest w pozytywniejszej manierze pozornie chłodnego i niezaangażowanego opisu, nosząc zarazem piętno technokratycznej fascynacji. Jest to fascynacja niezbyt ładnym „cybernetyczno-strukturalistycznym” żargonem socjologii lat 70-tych oraz po prostu komputerami.

Lyotard opisuje świat akademicki, takim jakim go widzi i jakim widzą go jego koledzy – uczeni. W tym sensie, jako sprawozdawca, jest obiektywny. Nie mówi nawet, że podoba mu się, iż jest właśnie tak jak jest, ani że mu się to wcale nie podoba. Możemy się tylko domyślać, że Lyotardowi podoba się wrażliwość nauki na potrzeby społeczne, dostępność edukacji dla młodzieży z niższych warstw, sprawne zarządzanie nauką, pluralizm systemu edukacji narodowej, nieskrępowany i demokratyczny rozwój komputerowej informacji naukowej, badania interdyscyplinarne, wychodzenie życia naukowego poza ramy uniwersytetów, nieuprzedzone i partnerskie stosunki instytucji nauki z przemysłem, organami państwa i organizacjami społecznymi. Obserwując życie naukowe dwadzieścia lat temu był optymistą – uważał, że system jest na dobrej drodze. I miał rację: w ciągu następnych dwudziestu lat organizacja nauki szła właśnie tą dobrą drogą.

Jako jeden z niewielu filozofów, Jean-François Lyotard wniósł swój koncepcyjny i organizacyjny wkład do współczesnego kształtu

nauki. Należy mu się za to nasz szacunek i pamięć. Przypuszczam, że człowiek tak przywiązany do nowoczesności na pewno chciał być świadkiem narodzin nowego stulecia cywilizacji naukowej. Tym bardziej żal mi, że zmarł już teraz.

Jan Hartman
